

PETER BENDER: *Ameryka. Nowy Rzym. Historia równoległa dwóch imperiów*, przekład Agnieszka Krzemińska, Adam Krzemiński, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2004, 264 ss.

Specjalizacja naukowa wymusza na badaczach wiernie pozostawanie przez lata w wąskiej problematyce określonej dziedziny. Historyk lub politolog, po to, by zostać ekspertem-autorytetem, powinien być przypisany do jednej epoki lub jednego obszaru. Oczywiście nikt z góry nie ogranicza wolności naukowcom, by nie ruszali w „wędrówce poznawcze”. Jednak z reguły to brak czasu stoi na przeszkodzie w zmierzeniu się z alternatywnym tematem z zupełnie innego okresu dziejowego. Wśród polskich badaczy widać też lekkie obawy przed krytyką środowiska, zwłaszcza tam, gdzie nie czujemy się „rdzennymi badaczami”. Szkoda, że takie próby z rzadka są podejmowane. Bowiem znajomość doświadczeń przeszłych cywilizacji niezwykle pomaga w rozumieniu współczesnych przemian w stosunkach międzynarodowych. Taka wiedza daje dystans. Narzuca paralele. Wymaga konfrontacji. Śmiałkowicie, którzy podejmują się napisania historii porównawczej muszą być jednak niezmiernie doświadczeni. Powinni spenetrować wiele źródeł i monografii, a jednocześnie mieć umiejętność syntezy. Nie wypada im ograniczać się do ogólnych podobieństw bądź różnic, ale by być wiarygodnym muszą wydobywać szczegóły. Autor historii porównawczej musi patrzeć i z bliska, i z daleka.

Peter Bender – niemiecki historyk i publicysta – zdecydowanie spełnia te kryteria. Ma ponad 80 lat i miał wystarczająco dużo czasu, by dobrze przestudiować politykę zagraniczną starożytnego Rzymu, a jednocześnie „na żywo” przyglądać się rozwojowi XX wiecznego imperium – Stanom Zjednoczonym. P. Bender oprócz napisania kilku ważnych książek (m.in. *Ofensywnego odprężenia, Końca epoki ideologicznej, Historii polityki wschodniej*)¹ był też praktykiem. Współpracował z kanclerzem Willym Brandtem przy formułowaniu głównych wytycznych polityki wschodniej RFN. Poznał też, korzystając z kontaktów na Uniwersytecie Harvarda, metody pracy sekretarza stanu USA – Henry’ego Kissingera. Swoją wiedzę i doświadczenie przekazywał zarówno w książkach naukowych, jak i w cenionych popularnych czasopismach niemieckich i polskich. Dzięki temu można porównać to do pracy, jaką wykonuje wybitny brytyjski historyk i publicysta Timothy Garton Ash. Obu autorów łączy również odpowiedzialność za śledzenie rozwoju stosunków transatlantyckich. Próbuja zrozumieć rolę Stanów Zjednoczonych i zjednoczonej Europy we współczesnym świecie. P. Bender czyni to z punktu widzenia niemieckiego, a T. G. Ash – brytyjskiego.

Ameryka. Nowy Rzym nie jest więc ani książką publicystyczną, ani też surową, naukową dysertacją. Jak pisze autor, jest to książka o historii. Nie ma ona również ambicji „futurologicznych”, tzn. nie zamierza konkurować z wizjami kreowanymi przez „amerykańską plejadę gwiazd” – na czele z Francisem Fukuyamą, Samuelem Huntingtonem czy Benjaminem Barberem. P. Bender jeśli pisze o przyszłości to stawia raczej otwarte pytania. Śledzenie historii może jednak do pewnego stopnia zbliżyć jego samego i czytelników do próby odpowiedzi na część z nich.

Już tytuły rozdziałów zdradzają nieco główny zamysł P. Bendera. W części pierwszej zatytułowanej *Dystans dwóch tysięcy lat* autor wprowadza nas w temat przypominając genezę powstania Stanów Zjednoczonych i jednocześnie przekazuje argumenty, że to sami twórcy nowego państwa od samego początku czynili nawiązania do historii i kultury starożytnego Rzymu. Oczywiście nie było wśród Amerykanów zwartej strategii naśladowczej, jednak mimowolnie w wystąpieniach ojców założycieli znajdowało się miejsce na łacińskie sentencje lub odniesienia do doświadczeń Rzymian. Już na pierwszy rzut oka nawet laik może znaleźć pozostałości tradycji rzymskiej w nazewnictwie amerykańskim (np. Kapitol lub Senat). Jednak kiedy dowiadujemy się, że do budowy Kapitolu sprowadzano marmur z Italii, wtedy przywiązanie do antyku musi być bardziej zastanawiające. P. Bender pyta dalej, czy nie było to dziwne, że sportretowany Jerzy Waszyngton nosił na obrazie rysy Augusta? Dlaczego założyciel republiki upodabniał się do twórcy cesarstwa?

¹ P. Bendera, *Offensive Entspannung*, Köln 1964; *Episode oder Epoche? Zur Geschichte des geteilten Deutschland*, München 1996; *Neue Ostpolitik, Vom Mauerbau bis zum Moskauer Vertrag*, München 1989; Nowe wydanie ostatniej pracy: *Die „neue Ostpolitik“ und ihre Folgen. Vom Mauerbau bis zur Vereinigung*, München 1995.

O rzymskim natchnieniu nie zapominali amerykańscy prezydenci z XX stulecia. Kiedy 26 czerwca 1963 r. John Fitzgerald Kennedy podczas swojego pobytu w RFN, wypowiedział w Berlinie Zachodnim słynne słowa: „Jestem Berlińczykiem”, przypomniał również tło historyczne, wspominając, że przed dwoma tysiącami lat najdumniejszym zdaniem było określenie „Jestem obywatelem Rzymu” (*Civis romanus sum*). Niektórzy kreatorzy polityki amerykańskiej bardzo nie lubili tego typu porównań, zwłaszcza, wiedząc jaki był koniec Rzymu. Dlatego Richard Nixon podkreślał, że Ameryka nigdy nie podda się dekadencji, która charakteryzowała późny okres cesarstwa. Czyniąc konkluzje, P. Bender zastrzega, że pośród ogromu podobieństw i analogii znaleźć można wiele różnic. Dodaje, że „Konstelacje i sytuacje są wciąż inne”.

Autor *Ameryki. Nowego Rzymu* w zasadniczych rozdziałach (jakże plastycznie brzmią ich tytuły: *Wyspiarze, Zdobywcy świata, Neurotyczne olbrzymy*) jest niezwykle skrupulatny. Obok prowadzenia dwóch zasadniczych wątków – kształtowania się polityki zagranicznej i opisu wojen prowadzonych przez oba państwa, konsekwentnie trzyma się głównej tezy pracy, mówiącej, iż oba organizmy stały się supermocarstwami nie dzięki podbojom (przynajmniej nie w głównej mierze), ale z defensywy. „Hegemonia Rzymu i Ameryki nie wynikała z ich własnej tylko potęgi, lecz również ze słabości pozostałych państw” – dodaje. Według P. Bendera Kartagina i Macedonia wymusiły na Rzymianach długofalową strategię bezpieczeństwa. To państwa europejskie, a zwłaszcza Związek Radziecki po II wojnie światowej, spowodowały gigantyczny rozrost potęgi wojskowej Stanów Zjednoczonych. Ambicją Rzymu i Waszyngtonu była wierność zasadzie *Second to none*, czyli nigdy nie być drugim.

Zanim jednak P. Bender dochodzi do takich wniosków przygląda się, niczym wielki historyk Fernand Braudel, wszelkim uwarunkowaniom, które doprowadziły do narodzin mocarstwa. Zwraca więc uwagę na położenie geograficzne, czas przypadający na rozwój czy na system organizacji władzy. Dzięki temu łatwiej mu dostrzegać paralele. Potęga Rzymu według autora narodziła się bowiem z biedy, potęga Ameryki z nadmiaru, obfitości i rozmachu. Rzym, dzięki wpływom arystokracji, rozrastał się odgórnie, a Ameryka, gdzie stosunkowo szybko ukształtował się naród, rosła w siłę oddolnie. W myśleniu Rzymian wpisane było motto, że wszystko można sobie wywalczyć, w przypadku Amerykanów, ich dewizą stało się hasło, że wszystko można kupić (Luizjana, Floryda, Alaska są tego dobrym przykładem). To jednak Amerykanie zdali sobie sprawę, że prowadzenie wojny i wzrost dochodów można ze sobą połączyć. P. Bender na dowód tej tezy cytuje Henry’ego Stimsona – sekretarza stanu w administracji Herberta Hoovera, który powiedział, że „W gospodarce kapitalistycznej prowadzenie wojny jest niemożliwe, jeśli się na niej nie zarabia pieniędzy”.

Porównania P. Bendera nie ograniczają się więc do ogólnej strategii polityki zagranicznej obu mocarstw. Autor przedstawia żywy opis postaci, których myśli przechodziła na kolejne pokolenia. Tak jak Appiusz Klaudiusz stał się realizatorem koncepcji „Italia dla Rzymian”, tak James Monroe, a zwłaszcza John Quincy Adams wykreowali zasadę „Ameryka dla Amerykanów”, która modyfikowana i poprawiana na różne sposoby obowiązywała przez dziesięciolecia. Nie wszystkie nawiązania do współczesności są najszcześniejsze, choćby porównanie dwóch wojen kartagińskich do wojen światowych z XX w., czy agresora z wybrzeża afrykańskiego do Japonii. Przecież Hannibal przez 15 lat „rozbijał się” po Półwyspie Apenińskim, a lotnictwo japońskie bezpośrednio zaledwie otarło się o Stany Zjednoczone, atakując port na Hawajach, które w 1941 r. nie były nawet jeszcze stanem USA. Amerykanie prowadzili wojnę tylko na zewnątrz. Jednak z drugiej strony wyprawa Hannibala była wyjątkiem. Aż do najazdu plemion barbarzyńskich, Rzymianie nie dopuścili już do ponownego wtargnięcia wroga. Ale nawet Amerykanie nie uniknęli naruszenia własnego terytorium. Pierwszy raz dokonali tego Brytyjczycy w wojnie 1812-1814. W styczniu 1814 r. prezydent James Madison musiał nawet uciekać z Białego Domu, a budynki administracyjne w stolicy zostały podpalone przez wojska brytyjskie. Drugi przypadek miał miejsce już w XXI w., kiedy to 11 września 2001 r. członkowie terrorystycznej organizacji al-Kaida porwali samoloty pasażerskie, rozbijając je o bliźniacze wieże *World Trade Center* w Nowym Jorku i budynki *Pentagonu* w Waszyngtonie. I w najnowszej historii P. Bender widzi analogie, skoro pisze, że praktyce rzymskiej odpowiadają choćby rozszczenia G. W. Busha, by tylko na samo podejrzenie złych zamiarów wszczynać wojnę.

Warte zastanowienia jest również czy współczesnym Stanom Zjednoczonym bliżej do Rzymu republikańskiego, czy już może do absolutnego cesarstwa. O tym traktuje rozdział *Imperium a Empire*. Odpowiedź P. Bendera jest jasna – różnice między starożytnym a dzisiejszym hegemonem są większe niż podobieństwa. Rzym bowiem był imperium w postaci wielkiego państwa, kierowanym przez cesarza z jego bezwarunkową wolą panowania. Stany Zjednoczone nawet jeśli są hipermocarstwem dominującym nad wieloma państwami na wszystkich kontynentach, to zawdzięczają to stworzeniu sieci powiązań ekonomicznych, strategicznych i kulturalnych. Nad tym wszystkim czuwa wprawdzie niezwykle wpływowy prezydent, ale jego imperialne możliwości są przecież ograniczone wielką instytucjonalną wartością – demokracją.

Nie ma natomiast „naukowej niespodzianki”, kiedy przyjdziemy Europę w kostium starożytnej Grecji. Wprawdzie to Rzymianie czerpali garściami z nauki i kultury helleńskiej, ale jednocześnie niejednokrotnie chronili Peloponez i Półwysep Bałkański przed zewnętrznymi wrogami. Dlatego z biegiem lat wspólnota grecko-rzymska zacieśniała się do formy symbiozy, nawet gdy jedni panowali nad drugimi. W przypadku relacji transatlantyckich jest podobnie. Wspólne są wartości, korzenie kulturalne, funkcjonowanie w jednej cywilizacji. Jednak w momencie, gdy Stany Zjednoczone zostały niekwestionowanym liderem, obie strony coraz więcej znajdują różnic niż podobieństw. Nad tymi niezmiernie aktualnymi kwestiami zastanawia się autor w ostatniej części swej książki zatytułowanej *Starożytność a Zachód*.

Osobne miejsce należy się refleksji nad okładką książki. „Wklejone” ruiny Koloseum przedstawione są na tle dwóch wież *World Trade Center*. Projekt graficzny naprawdę przykuwający, ale jeśli chodzi o interpretację trochę trudno o pozytywne wnioski. Zbudowane w I w. n.e. Koloseum jednak przetrwało do naszych czasów – zasadniczy fundament oparł się najazdom i czasowi. Co natomiast z wieżami, których nie ma już od ponad trzech lat. Czyżby nie można znaleźć innych trwalszych symboli potęgi amerykańskiej? Chyba, że jak feniks z popiołów powstaną nowe i przywrócą wiarę Amerykanów w nieprzemijalną siłę ich kraju.

Jeśli chodzi o warsztat naukowy Petera Bendera to jest on równie imponujący, jak swoboda poruszania się po materiale faktograficznym. Wprawdzie opracowanie nie zawiera „klasycznej” bibliografii, ale na końcu książki znajduje się odpowiednio opatrzona notatka bibliograficzna do każdego z rozdziałów. Autor opierał się zarówno na wielu źródłach, jak i monografiach największych autorytetów historii Rzymu i Stanów Zjednoczonych. Nie brakuje w tekście cytatów klasyków rzymskiej polityki i literatury, amerykańskich prezydentów i sekretarzy stanu. Znakomicie dobrane są również motta do każdego z rozdziałów. Ich autorami są m.in. Cynceron, Katon Starszy, William Fulbright, Charles Krauthammer, czy George W. Bush. Dla mniej wtajemniczonych w dzieje obu imperiów przygotowano zostało dokładne kalendarium obejmujące okres dwu i pół tysiąca lat. Tyle, że z przerwą tysiąca trzystu lat między upadkiem Rzymu a powstaniem Stanów Zjednoczonych.

Lektura książki P. Bendera zmusza wręcz do podjęcia rozważań oscylujących wokół znaczenia historii we współczesnej nauce. Należałoby poszukać dla niej odpowiedniego obszaru „czasowego”. Czy jest to wyłącznie nauka o przeszłości? W jakim stopniu może być sprzęgnięta z teraźniejszością? Czy ma w ogóle prawo wypowiadać się o przyszłości? Historię, która aktywnie uczestniczy w dyskusjach o współczesności i zdobywa się na sądy o aktualnych problemach Fernand Braudel nazywał „operacyjną”. Według mistrza szkoły *Annales* historyka nie może interesować wyłącznie to co się już wydarzyło, „historia nie jest uwięziona w świecie rzeczy martwych”². Kiedy jeden z socjologów zarzucił F. Braudelowi, że historycy jakoby pracują na obszarze śmierci, ten mocno zaoponował. Twierdził, że historycy łatwo mogą sprawić, by wydarzenia, czy jednostki z przeszłości ożyły. „Tak, historia jest po stronie życia, jest sama życiem. W świecie, w którym śmierć jest czymś absurdalnym, czyż nie jest czymś wspinałym życiodajną siłą historii? Nie odczuwamy z taką ostrością, jak inne nauki o człowieku czarnej

² F. Braudel, *Historia i trwanie*, Warszawa 1971, s. 335.

linii oddzielającej przeszłość od teraźniejszości. W badaniu nad społeczeństwem współczesnym, żywym, mamy zatem prawo prosić o głos. A gdyby nam go nie dano, i tak udzielilibyśmy go sobie sami”³. Do takiego poglądu w sposób wymyślny nawiązał w swej książce Peter Bender.

Rafał Matera

PETER SCHWEIZER: *Wojna Reagana*, przekład Piotr Amsterdamski, Wydawnictwo Albatros, Warszawa 2004, 368 ss.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Ronald Reagan był postacią niezwykle barwną i kontrowersyjną. Głębokie zmiany wprowadzone przez niego zarówno w amerykańskiej polityce zagranicznej, jak i wewnętrznej sprawiają, że osoby choć trochę interesujące się polityką i historią, kojarzą byłego prezydenta z bezkompromisową walką z komunizmem, bądź z jego programem ekonomicznym realizowanym w Stanach Zjednoczonych, zwanym „reaganomiką”. Te dwa aspekty jego działalności są do dziś przedmiotem różnorodnych ocen. Historykom, ekonomistom i publicystom piszącym o Reaganiu z reguły trudno zachować obiektywizm – zazwyczaj ich prace są „laurkami” albo systematycznym udowadnianiem błędów w każdej dziedzinie.

Peter Schweizer, wykładowca Instytutu Hoovera na Uniwersytecie Stanforda, zajął się realizowaną przez Reagana „reaktywacją” zimnej wojny, po okresie odprężenia w stosunkach amerykańsko-radzieckich w latach 70. Jednak *Wojna Reagana* nie traktuje wyłącznie o okresie jego prezydentury. Treść pracy dobrze charakteryzuje zamieszczony na okładce podtytuł *O jego czterdziestoletniej walce z komunizmem zakończonej ostatecznym zwycięstwem*.

Pierwsze rozdziały książki poświęcone są źródłom antykomunizmu Reagana, który zamienił się u niego w obsesję, rozumianą negatywnie przez jego przeciwników, a pozytywnie, jako niezłomną wierność swoim poglądom, przez zwolenników. Walka z wpływami komunistycznymi w latach 40. i na początku lat 50. w Stanach Zjednoczonych rozgrywała się o „rząd dusz”. P. Schweizer analizuje środowisko, w którym obracał się przyszły prezydent. Przedstawia jego niezwykłą aktywność na froncie ideologicznym w rozpolitykowanym Hollywood, gdzie jako przewodniczący Gildii Aktorów Filmowych starał się nie dopuścić, by zwolennicy komunizmu przejęli kontrolę nad tak ważną „tubą propagandową” jaką był amerykański film. Jego konsekwentne poglądy w połączeniu ze zdolnościami oratorskimi, pozwoliły mu objąć najpierw stanowisko gubernatora Kalifornii, a w końcu prezydenta Stanów Zjednoczonych. Czarno-biała retoryka, za którą szły również radykalne posunięcia wobec Związku Radzieckiego, przysporzyła mu wielu wrogów, jednak Reagan wierzył w słuszność swoich przekonań i metodę walki z komunistami – zmuszenie ich do morderczego wyścigu zbrojeń, co miało wyczerpać gospodarczo wschodnie mocarstwo oraz nie dopuścić do dalszego rozprzestrzeniania się wpływów radzieckich na świecie.

W ten sposób autor przedstawia Reagana jako niezłomnego dowódcę krucjaty, który mimo trudności nigdy się nie waha, rozróżnia bowiem bezbłędnie dobro od zła i dąży prawie „na ślepo” do celu. Schweizer, jako wytrawny naukowiec, stara się pokazać również słabości Reagana, np. przyznaje, że nie znał się do końca na szczegółach technicznych i rodzajach broni nuklearnych lub popełnił błąd godząc się na posunięcia ujawnione później pod nazwą afery Iran-Contras. Jednak autor usprawiedliwia bohatera swojej pracy – był przecież tylko człowiekiem, nie mógł panować nad wszystkim, został wprowadzony w błąd. Zresztą nie miało to negatywnego wpływu na walkę z komunizmem, która była jego podstawowym celem. Prostowności Reagana jest w pracy przedstawiona jako zaleta, szczególnie okazuje się przydatna w spotkaniach na szczycie z Michaiłem

³ *Ibidem*, s. 336.